Rok I. — Nr 3. 1 MAJA 1937 CENA EGZEMP. 20 GR



Okienko na Świat

Pismo dzieci i młodzieży

DWUTYGODNIK — WYCHODZI DN. 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA

Wydawca i redaktor odp.: Dr. Henryka Fromowicz-Stillerowa Redaktor: Marta Hirschprung

B. JERUSALIMSKI

LAG B'OMER

Święto młodzieży żydowskiej.

Święto „Lag b'omer" jest żywym pomnikiem ku czci bohaterów żydowskich, którzy pod sztandarem Bar Kochby i Rabbi Akiby walczyli o wolność Narodu z najstraszniejszymi wrogami Żydostwa — z Rzymianami.

W tym właśnie dniu przypada też rocznica śmierci rabbi Szymona ben Jochaja, wielkiego uczonego. który lud swój ukochał całym żarem swojej pięknej duszy.

„Oczy Rabbi Szymona ben Jochaja — opowiada stara legenda — dziwną posiadały moc. Wystarczyło, aby Ben Jochaj rzucił spojrzenie na człowieka grzesznego i już serce tego grzesznika zostało odmienione, a zamiast złości zakwitła w nim dobroć. Pod wpływem świętego ognia, płonącego w jego oczach, porzucali wojacy rzymscy broń, mówiąc: „Nie chcemy być niesprawiedliwi, nie będziemy przelewali krwi ludzkiej w ciągłych wojnach"...

Rozumie się, że dla cesarza rzymskiego był Rabbi Szymon bardzo niebezpieczny. Boska moc, tryskająca z jego cudownych oczu, mogła rozbroić niemal wszystkie zastępy potężnego wojska rzymskiego. Postanowił więc cesarz zgładzić go w sposób podstępny. Nie udało mu się to jednak. Zdążył stary Rabbi Szymon ukryć się w niedostępnej dla oka ludzkiego jaskini. Tam pogrążył się w starych księgach. Żywił się figami i daktylami, rosnącymi obok jaskini, popijając wodę z pobliskiego źródełka. Nikt, prócz uczniów, nie znał miejsca jego ukrycia. Często go odwiedzali i opowiadali mu o losie Żydów pod panowaniem rzymskim. Idąc tam, mieli zawsze łuki ze sobą, aby móc się bronić w razie napadu.



Rys. R. Apte.

Był piękny, słoneczny dzień lagb'omerowy, gdy stary Rabbi Szymon ben Jochaj, przebywający już czternasty rok w samotności usłyszał wesołe ćwierkanie ptaków: „Ben Jochaj, Ben Jochaj! Zmarł już zacięty twój wróg władca Rzymu! Możesz już opuścić jaskinię i wyjść na wolność" (Przez czas przebywania w jaskini nauczył się Rabbi Szymon mowy zwierząt i ptaków). Wyszedł stary Ben Jochaj i ujrzał przed jaskinią nieliczne tłumy swoich uczniów i wielbicieli. Czuł jednak, że siły go opuszczają — że umiera...

„Niech rocznica mego zgonu — szeptał w ostatnich chwilach swego życia — nie będzie obchodzona żałobą, niechaj dzień ten, przypadający w Lag b'omer, będzie świętem radości ukochanej młodzieży żydowskiej. Niech młodzież wyrusza w tym dniu na zielone łąki, gdzie nabierze sił i zdrowia, aby mogła — w razie potrzeby — przeciwstawić się przemocy wroga.

— — — — — —
— — — — — —

Mała wioska Meron, obok Safedu, gdzie znajduje się grób Rabbi Szymona ben Jochaj roi się w dniu Lag b'omer od pielgrzymów żydowskich. Nad grobem jego śpiewają i tańczą starzy i młodzi; ognisko wzniecone nad jego grobem wzbija się potężnym płomieniem; a w jego blasku płoną oczy i serca tysięcy młodzieży żydowskiej całego świata.

CZY zaprenumerowałeś już Okienko na świat?

Pamiętaj, że rozwój OKIENKA zależy od ilości jego abonentów!

Prenumeratę możesz uiścić w każdym urzędzie pocztowym czekiem rozrach. bez żadnej opłaty (konto Nr. 23)

A. DORTHAYMEROWA

KAMIENIE...

Jakby ukołysane do snu upałem — cicho drzemały małe uliczki Nadwórnej.

Niepostrzeżenie przemykało piątkowe południe.

W jednoizbowej szkole, na pagórku stojącej, nauczyciel mówił o zbliżającym się święcie „Lag-beomer": „...Uroczystość ta przypomina nam żywo naszą Świątynię! — naszą Ziemię! mlekiem i miodem płynącą. To święto — roztacza przed nami wszystką Jej krasę!... Przynosi nam z sobą Jej poszum..." „Wy dzieci, szczególnie macie prawo do tego święta! W tę więc niedzielę będziecie wolne od nauki, bo będzie właśnie „Lag-beomer". Pójdziemy na wycieczkę!"

— Na wycieczkę! na wycieczkę! — zawołały uszczęśliwione dzieci.

— Za miasto, do lasu!?

Z radosnym pogwarem wysypała się młodzież z murów szkolnych na ulicę. Szkoła — opustoszała. — Otulił ją ciepły sen sobotni.

Dzieci uszczęśliwiało marzenie o wycieczce niedzielnej w „Lag-beomer".

I nadszedł ów dzień oczekiwany i wyśniony. Radowały się niebo i ziemia. Małe miasteczko kąpało się w słońcu. Uliczki roiły się od spacerujących. Dzwony kościelne wyczarowywały dziwny nastrój — w drzemiącej, głębokiej prowincji.

Uliczka szkolna zaroiła się dziećmi. Dziewczynki — wystroiły się w białe sukienki z niebieskimi kokardami; warkoczyki spięły białymi wstążkami. W rękach trzymały biało-niebieskie chorągiewki. Chłopcy przygotowali kolorowe lampiony.

Wkrótce ruszono.

Na czele kroczył nauczyciel z laską, a w tyle za dziećmi — muzykanci miejscy.

Dzieci maszerowały dumnie, śpiewając pieśni hebrajskie przy wtórze muzyki, a oczy uradowanych rodziców odprowadzały je długo i daleko. Pochód przeciągał wesoło główną ulicą miasteczka, aż wreszcie przeszedł w uliczkę pełną kamieni, prowadzącą za miasto — do młyna.

Muzyka grała. Dzieci wpatrywały się we wszystko i wsłuchiwały.

Wtem — nagle krzyk i płacz.

To wiejskie chłopaki ukryte za przydrożnymi płotami obrzuciły wycieczkę kamieniami. Pochód zamienił się nagle w bezładne kłębowisko dzieci — zrozpaczonych i w popłochu uciekających, wołających: prędzej!... prędzej!... Nauczyciel oddzielił się natychmiast od dzieci i wbiegł do jakiejś zagrody... Jednak po krótkiej chwili był już wśród dzieci. Kazał stanąć i ustawić się w pary.

— Możecie być już spokojne — powiedział łagodnie — rodzice ukarali niedobrych chłopców.

Tymczasem wycieczka zbliżała się do młyna. Właściciel jego, słysząc muzykę, wybiegł i zaprosił wszystkich serdecznie do siebie na łąkę. Była tu rzeka, wodospad, huśtawka i altana.

Dzieci odpoczęły, posiliły się podwieczorkiem, a potem kąpały się, huśtały, koziołki w trawie wywracały i każdy się bawił, jak mu się żywnie podobało.

Słodka to i prawdziwa była swoboda.

Długo zapewne trwałyby zabawy, gdyby nie zachodzące słońce, które ukryło już ostatni swój rąbek w miękkim fiolecie i gdyby nie siwe rozpościerające się mroki.

Nauczyciel podziękował gospodarzowi za serdeczną gościnę. Dzieci ustawiły się czwórkami i przy świetle lampionów i wtórze muzyki maszerowały wracając do ciepłego miasteczka, ze śpiewem na ustach: „...Od lo awda..."

W powietrzu, w dalekich przestrzeniach jeszcze długo za powracającymi ociągało się leniwe echo pieśni.

— Piękna to była wycieczka—opowiadała 12-letnia Ewunia rodzicom przy wieczerzy — tylko te kamienie... Mamusiu, — kamienie... Dlaczego?...

I urwała.

Zapadła w zadumę. Ciepłe łzy popłynęły po jej bladych policzkach; zielone, w czarnej oprawie, oczy patrzały w dal.. Z rozchylonych warg wymknęły się szeptem słowa:

„Znasz ty ten kraj, gdzie w cudnej dolinie
Jordanu fale się lśnią?
Gdzie boskie psalmy, melodia — płynie...

Ach za tym krajem tęskni ma dusza.
Marzę i śnię, i płaczę...
I nie będę szczęśliwy,
Aż te kraje, te niwy
Chociażby raz — zobaczę!"

Młodziutki artysta

Antosia Wassermana poznałam jeszcze dwa lata temu, kiedy jako siedmioletni pianista-kompozytor wystąpił z wielkim koncertem w Krakowie.

Na estradzie zjawił się wówczas malutki, blady chłopczyna, prowadzony do fortepianu za rączkę przez ojca. Drugą poprawiał sobie portaski i dziecinnym spojrzeniem wodził po sali, jakby się dziwił ogromnie skąd i poco tyle ludzi się tu zeszło. Antoś był wtedy tak śmiesznie mały, że nie dosięgał nóżkami do pedału i gubił się po prostu przy fortepianie. Ale gdy grał, ten mały artysta nie wydawał się już wcale mały. Twarz jego nabierała powagi, — nie dziecka, znikały mu z oczu i ludzie i sala. Zapominał o wszystkim. Skupiony w sobie przenosił się całą duszą do swojego świata — świata melodii i tonów. I widać było, że dobrze w tym świecie się czuje.

Dziś ma już Antoś lat dziewięć. Tworzy wielkie kompozycje muzyczne, w których uderza przedziwna głębia i zdumiewająca powaga. Układa też wierszyki, maluje i ma już nawet swoich ulubionych muzyków, z których najbardziej uwielbia Bethovena.

A przy tym wszystkim — powiem Wam w tajemnicy — Antoś pozostał nadal małym, malutkim, takim niezaradnym i ogromnie miłym dzieckiem.

Przed dwoma laty przybył do Polski z rodzicami, jako uchodźca z Niemiec.

Ten wyjazd wywarł na dziecku-artyście ogromne wrażenie, które wyraził w kompozycji p. t. „Powrót do kraju". Stworzył też i marsz żałobny poświęcony pamięci Pana Marszałka. Antoś komponuje i wiele innych melodii, bo musi, bo mu coś czasem tak „łazi" po jego serduszku, „łazi" i gra, a gra tak długo, dopóki Antoś nie wygra tych melodii, których nawet spisać jeszcze nie potrafi.

Do szkoły nie chodzi. Ale nie zazdrośćcie mu. Wprawdzie naukę pobiera u matki (matka-pianistka i muzyki go uczy) ale za szkołą bardzo tęskni.

— Dziwna jest szkoła — mówi Antoś — tyle w niej różności, tyle... A Antoś lubi różności.

Jest zapalonym filatelistą, jak wielu z pośród Was. Pokazywał mi z dumą ogromny album w którym zbiera znaczki pocztowe. Ma ich już bardzo dużo — i jakie ważne!

Z zapałem gra w piłkę nożną, ze swoim pieskiem, Pudusiem. A wtedy, ku utrapieniu matki, pokój zamienia się w boisko sportowe, co mówie... w pole bitwy.

(Dokończenie na str. 6-tej)

Grita, dziewczynka z epoki bronzowej

Rankiem, mężczyźni wyjechali na połów. Wsiedli w czółna wyżłobione w pniach olbrzymich dębów za pomocą ognia i siekiery. Kobiety podawały im sieci, stojąc na platformie, na której zbudowane były chatki nawodnej wioski.

Pierwsza łódź ruszyła. Siedział w niej wódz szczepu Harra-Huo i jego syn Fer-Hio, a mała córeczka Grita i żona Kroga patrzyły w dal za mężczyznami. Potem weszły do domu.

Małe to osiedle zbudowane było na wodach wielkiego jeziora i otoczone szczytami śnieżnych gór. Mocne pale dźwigały platformę, a na niej kilkanaście chat, skleconych z gałęzi, przeplatanych i pokrytych słomą. Przez ruchomy most można się było dostać z chat na brzeg jeziora. Wieczorem most podnoszono i mieszkańcy osiedla czuli się bezpieczni przed rabusiami.

Największa chata należała do Harra-Huo i wznosiła się w samym środku wioski. Była tam jedna tylko izba. Na kamiennym palenisku,, pośrodku izby, płonął ogień, a w domu pilnie baczono, by ogień ten nigdy nie wygasł. Dym uchodził przez otwór wywiercony w dachu. W kątach, na słomie, leżały skóry zwierząt, to były łóżka. Grubo ociosany stół i krzesła — ciężkie pniaki o trzech nogach — stanowiły resztę urządzenia.

Kroga ułożyła fałdy długiej, lnianej sukni, podniosła wysoko ciężkie branzolety z bronzu, usiadła u wejścia do chaty i zaczęła prząść. Grita z ukosa spojrzała na matkę i widząc że jest zajęta, cichaczem wymknęła się z chaty. Szybko przebiegła most i znalazła się na brzegu. Szła naprzód. Szła w kierunku skał zamykających dolinkę. Po drodze napotkała robotników w długich, skórzanych fartuchach. W naczyniach sporządzonych z ziemi mieszali oni cynę z miedzią i węglem. Naczynie wsadzali później w piece, gdzie płonął olbrzymi ogień. W ten sposób otrzymywali bronz zaś płynny metal wlewali w formy z piasku. Ale tego dnia robotnicy nie odlewali ani branzolet, ani pierścieni, ani kolczyków. Robili broń: szpady, sztylety, ostrza do lanc, a to zupełnie nie interesowało Grity.

Nieco dalej napotkała garncarzy, którzy w rękach formowali gliniane wazy, susząc je przed wypalaniem na słońcu.

Grita nawet się nie zatrzymała, spieszno jej było, a drogę miała jeszcze daleką. Waska ścieżynką między obalonymi głazami pięła się w górę, aż stanęła na płycie skalnej skąd widać było jezioro i miejsce, gdzie topiono metale, gdzie pracowali garncarze. Gdyby Grita natężyła wzrok, dostrzegłaby może na wodzie czarne plamki rybackich łodzi. Ale i te nie obchodziły Grity. Pochyliła się nad ciemnym otworem skalnej groty i głośno zawołała: „Oho... hej!

Jakiś głos odpowiedział: Oho... hej! i z groty wyszedł Grilhi.

Grilhi był drugim bratem Grity. Miał szesnaście lat. Starszy, Fer-Hio był wielki, silny i piękny. Grilhi był słaby, brzydki i w dodatku kulał. Od najmłodszych lat był pośmiewiskiem całego osiedla, tego małego ludu o szorstkich obyczajach, który podziwiał jedynie siłę.



Tylko Grita okazywała mu uczucie, a Grilhi, którego serce było dobre i łagodne, kochał jedno tylko stworzenie na świecie: swą małą siostrę Gritę. Grita codzień przychodziła do groty, dokąd schronił się przed złością ludzi, Była mu jedyną osłodą w samotności. Grilhi zresztą nie nudził się w swej grocie. Grilhi był wielkim artystą. Przy pomocy ostrego kamienia, albo bronzowej lancy jedynie, tworzył prześliczne przedmioty. Na branzoletach i na pierścieniach, które ozdabiały ramiona i nogi kobiet, rzeźbił wspaniałe wzory. O jego talencie zasłyszano nawet po drugiej stronie gór i mieszkańcy wodnej wioski dziwili się temu nowemu rodzajowi sławy. Zaczynali rozumieć, że istnieje na świecie jeszcze coś innego niż siła fizyczna jedynie, że istnieje siła inteligencji. Grilhi wymyślił także pułapki, które zachwyciły myśliwych, ale klejnoty, które ozdabiał, i zwierzęta, które rzeźbił w płytkach łupkowych, w rogach jelenich, pokazywał tylko Gricie. A ona tak bardzo je podziwiała.

— Mała siostrzyczko, powiedział Grilhi wesoło, obawiałem się, że dzisiaj nie przyjdziesz. Czy wiesz, że urodziłaś się w dniu, kiedy zakwitły drzewa w naszym sadzie? A oto patrz, dzisiaj rankiem drzewa stanęły w kwiatach trzynasty raz od twego urodzenia. Chodź, zobaczysz czym pragnę cię odbarzyć.

Weszli do groty. Grilhi zbliżył się do dziury, która służyła mu za schowek i wyciągnął z niej długie szpilki do włosów, zakończone wielkimi guzikami z bronzu, wyciągnął naszyjnik z szlifowanych szkiełek oprawnych w metal i piękną, rzeźbioną branzoletę.

— To wszystko dla Ciebie, powiedział, a Grita aż podskoczyła z radości. Wdzięczna i zgrabna, jak przystało na córkę wodza, zgarnęła szybkim ruchem włosy, związała lnianą wstążką i wpięła w nie obie szpilki. Włożyła naszyjnik i branzolety i pochyliła się nad bronzową wazą pełną wody, by z zachwytem podziwiać swe odbicie.

Tego dnia bandyta, który był postrachem całego osiedla, wpadł w sidła, zastawione przez Grilhiego w przejściu górskim.

Tym razem szczep miał niezbity dowód. I kiedy Harra-Huo i rybacy, kiedy garncarze i odlewacze bronzu wyciągnęli wieczorem rabusia z dziury, przekonali się, że przez swą inteligencję Grilhi sam jeden zwalczył olbrzyma, którego teraz dziesięciu mężczyzn z trudem mogło podtrzymać. Zrozumieli, że ten słaby marzyciel Grilhi obdarzony jest siłą wieksza, niż ich siła. Unieśli go na ramionach i na znak podziwu podrzucali wysoko w górę.

Wieczorem, w chacie Harra-Huo święcono powrót Grilhiego. Wódz dumny był teraz ze syna. A Grita wystrojona w swe klejnoty siedziała tuż przy Grilhim, bo to ona przecież przez swa miłość pomogła bratu przetrwać chwile rozpaczy i osamotnienia.

Tłum. **N. Wietschner**

Treść poprzed. numeru (2-go):

JAN LAS

Wędrówki listu*)

Otrzymuję codziennie listy z bliska i z daleka. Czasem od kogoś mieszkającego w tym samym mieście, a czasem wędrują do mnie z różnych stron Polski, zdarzają się i takie, co z za morza płyną, aby zjawić się pewnego dnia w skrzynce u drzwi mego mieszkania. Gdyby list taki opowiedzieć mógł dzieje swej podróży, byłaby to z pewnością historia ciekawa i urozmaicona.

Pewnego dnia ktoś napisał adres na kopercie, nakleił znaczek i gotowy list wrzucił do skrzynki. List upadł na stos korespondencji i leżał przez chwilę w ciemności i ciszy. O ściśle określonej porze zajechał motocykl pocztowy. Szczęknął automatyczny zatrzask i listy wpadły do szczelnie zamkniętego skórzanego worka. Z furkotem i hałasem zajechano przed urząd pocztowy. Tu wysypano listy na stół i zaraz chwycili je w ręce urzędnicy, aby zbadać czy posiadają znaczek pocztowy odpowiedniej wartości. Przy tej sposobności znaczki skasowano stemplem pocztowym.

Następnie listy powędrowały do sortowni. Tam dostały się do rąk nieznanych ludzi, którzy porozmieszczali listy w dziesiątkach przegródek stojących wzdłuż ścian. Każda przegródka zawierała listy, które miały z sobą razem odbyć dalszą podróż. Listy miejscowe wyruszyły ze swej przegródki wprost do sali listonoszów; zamiejscowe gromadziły się wedle linii kolejowych, czyli wedle kierunków. W przegródce „Warszawa" znalazły się wszystkie listy zaadresowane do stacji leżących między miejscem nadania a Warszawą i te także, które przez Warszawę iść miały do dalszych miejsc przeznaczenia. Po wysortowaniu listy powędrowały znów do worka a auto przewiozło je na dworzec.

Tu zaczęła się druga seria przygód. Pociąg składa się jak wiadomo z wielu wozów. Jeden wóz nazywa się ambulansem. Ambulans jest to właściwie mały urząd pocztowy na kołach. Urzędnicy czynią tam ponowny przegląd listów. Osobno kładą listy zmierzające do poszczególnych stacji, na których zatrzymuje się pociąg. Tam czekają już koledzy-pocztowcy, którzy odbiorą listy do ich miasta adresowane a natomiast oddadzą swoją korespondencję. Praca w ambulansie wre przez całą drogę.

Przypuśćmy, że list dostał się już do miejsca przeznaczenia. Teraz wraca z powrotem na pocztę; tu dostaje się do wielkiej sali, gdzie siedzą rzędem listonosze. Każdy ma przydzielony sobie rejon, ulicę lub też kilka ulic, które obsługuje. Listonosze sortują listy po raz trzeci. Odbierają korespondencję ze swego rejonu i układają ją według numerów domów, aby nie wracać kilkakrotnie na to samo miejsce. O oznaczonych godzinach opuszczają biuro, aby adresatom doręczyć listy.



C. d. n.

*) „Wędrówki listu" jest to wyjątek z książki **Jana Lasa** p. t. **„Wieści płyną w świat"**, która w czasie najbliższym ukaże sie w wydawnictwie Księgarni Powszechnej w Krakowie „Biblioteka Naukowa dla Młodzieży".

Wyjątek przedrukowano za zgodą wydawcy.

PRACUJEMY...

Jak zrobić auto?

Są nam potrzebne: dwa pudełka zapałek, kawałek kartonu, papier kolorowy, klej oraz pięć pluskiewek.

Pudełka należy umieścić jedno na drugim i tak skleić ze sobą, ażeby napis „Polski Monopol Zapałczany" był wklejony do środka. Górną szufladkę, w której były zapałki należy wyjąć. Dolną zaś należy wyciągnąć do połowy, będzie to motor. Teraz należy okleić pudełka papierem kolorowym, przy czym otwór wyciągniętej części pudełka dolnego, która jest motorem, należy wpierw zakleić kartonem, a na to dopiero przychodzi papier kolorowy. To samo należy zrobić z tyłu. Kółka wycina się z kartonu i przypina po bokach pluskiewkami, koło zapasowe przypina się pluskiewką z tyłu. Ładnie wygląda daszek z kartonu, umieszczony na przodzie auta nad motorem. Na bokach auta nakleja się kolorowe szybki.

Er-Lu.

IGNACY JETZIS

Czym jedziemy?*)

SAMOLOT

Samolot lata tam i z powrotem
Samolot lata tam i z powrotem
Samolot lata tam i z powrotem,
W powietrzu goni żelazny ptak! —
— Chciałbyś pojechać samolotem?
— O, jeszcze jak!

POCIĄG

Z Warszawy nosi nas pociąg
po kraju — daleko i chyżo —
Za parę godzin jesteśmy
w Berlinie albo w Paryżu —
Pędzi jak zawierucha
Przez góry i przez równiny:
Z kominów
dym
czarny
bucha!
Rrrrwą
koła! —
huuuczą
maszyny! —
Pędzi po szynach, po mostach,
(O jak szumi wtedy nam w głowie...)—
Wpada zdyszany na stację
Aż dudni hala dworcowa! —

SAMOCHÓD

Samochód — to wielki tchórz,
Zabłądzi, ucieka — i już!
Jak szalony pędzi wiecznie —
Dla wygody
Można jechać samochodem.
Są ludzie, którzy mówią że to
niebezpiecznie.

TRAMWAJ

Jeśli do szkoły masz daleko
To jedziesz tramwajem.
Szumią ulice jak wezbrane rzeki,
Domy uciekają.
Po szynach pędzi czerwony smok
(Przez cały dzień wciąż tak goni),
Przez ciżbę ludzką, hałas i tłok
Jedzie — i dzwoni!
A oto staje już na przystanku,
Konduktor gwizda; woła — — :
Wysiadasz wesoły, ochoczy w ten
ranek;
— Już szkoła!

*) Powyższe wierszyki wyjęte są z książki dla dzieci **Ignacego Jetzisa** p. t. „10.000 koni". (Wyd. „Panteon", Lwów, 1937).



Rolfuś

Rolfuś był to mały piesek. Zobaczyłam go na poddaszu, gdzie mieszka ze swą rodziną. A była to prawdziwa psia rodzina. Wszystkie pieski były do siebie podobne, miały kolor czekoladowy, grube, bardzo niezgrabne łapki, i śliczną kokardę pod brodą, ale nie ze wstążki, tylko z własnej sierści. Krótko mówiąc, były to piękne Dobermany. Leżały... ale gdzież tam leżały! który to mały piesek chce leżeć grzecznie i spokojnie! Przewracały się wesoło na koszyku, użytym na posłanie i starały się z niego wydostać.

Wieleż było radości, gdy mi darowano jednego pieska! Każdy z Was cieszył by się tak samo.

Zabrałam Rolfusia, bo takie dostał imię zaraz do domu. Był strasznie śmieszny, chociaż może nieco się smucił, bo odchodził przecież od swych sióstr i braci...

W domu przygotowałam mu posłanie, takie, jakie miał poprzednio. Ale wyobraźcie sobie, że zaraz z niego uciekł, ułożył się do snu na kanapie i nie chciał się stamtąd ruszyć!

Tak zaczęły się moje kłopoty z Rolfem.

*

Ale też żarłokiem był wielkim.

Raz zauważył nasz Rolfuś, że w mieszkaniu znajduje się spiżarnia. Były tam pyszne rzeczy: słoje z konfiturami, duże zwoje kiełbasy, dzbanek ze śmietaną... Ho, ho, myślał Rolfuś, żebym ja mógł się tam dostać!!

Długo też czekał na sposobność, bo Marynia zamykała starannie drzwi do spiżarni.

Ale pewnego dnia zdarzyło się, że topiono u nas smalec. Jakże kręcił się nasz żarłok po kuchni, a oblizywał! Jaką smakowitą połykał ślinkę!

Marynia wyniosła przetopiony już smalec do spiżarni i powiedziała wesoło do Rolfa: „Oblizuj się, oblizuj! I tak nic nie dostaniesz!“ Piesek nic nie odrzekł, bo jak Wam wiadomo pieski nie mówią. Nadstawił tylko uszy, poruszył ogonkiem — i wieczorem napróżno szukaliśmy Rolfa. Zniknął. Nie było go nigdzie. Dozorca biegał po sąsiadach i pytał, czy ktoś nie widział naszego psiaka. Ale nie znalazł się. Poszliśmy spać, chyba wiecie, jak nam było smutno. Gdy rano następnego dnia ubieraliśmy się do szkoły, wbiegła Marynia z nowiną, że w spiżarni coś jęczy. Pobiegliśmy wszyscy razem, pchaliśmy się jedno przez drugie — tacy byliśmy ciekawi!



Rys. R. Apte

A było też na co patrzyć, nisko na półce stał duży, bardzo duży garnek, który jeszcze wczoraj był napełniony smalcem. Teraz był pusty, ale nie całkiem, bo na dnie jęczał skulony nieszczęśliwy Rolfuś.

A wiecie czemu narzekał? Oto ten żarłok wylizał cały smalec, a potem nie mógł wydostać się z garnka!!

Brzuszek bolał Rolfusia jeszcze bardzo długo. Musiał brać gorzkie lekarstwo...

Co o tej swojej przygodzie myślał, nie wiem, tylko od tego dnia zauważyłam jedno: nigdy nie wchodził do spiżarki.

Ritt.

Lag b'Omer

Gdy nadchodzi Lag b'Omer
Radość dla dziecinnych dusz.
W ten trzydziesty trzeci Omer
Wiosna w całej pełni już.
Na majówkę z chorągiewką
żwawo, śmiało,
Na wycieczkę z trąbką dźwięczną,
małą
Gromadki dzieci maszerują wraz
Na kwietne łąki i w zielony las
W to święto Lag b'Omer...

Z. F.

Gabryś, Uriel z Benjaminkiem...

Gabryś, Uriel z Benjaminkiem zajadali chlebuś z kminkiem, chlebuś smaczny, wyborowy, boć z nich każdy chłop morowy. Chłop morowy tak na schwał — każdy się tej trójki bał.

Gabryś lubi zbierać znaczki, to sortował, składał w paczki, pilnie strzegł on markownika — nocą na klucz go zamyka. Strasznie lubi „Palestyny“ więcej niż „Kuby“, „Argentyny“, bo — to wielki sekret jego, ma tam w Erec brata swego.

Lubi opowiadać o tem, pokazując znaczek potem. To mój Dawid w liście posłał, wczoraj go mój ojciec dostał. Tam na ścianie zdjęcia wiszą, to mój Dawid jest na kwiszu. Zuch jest brat mój jakom żyw, w Purim był on w Tel Awiw.

A koledzy jego z pracy, patrzcie sami to junacy, — jedni siedzą, inni stoją. Arabów się nie boją. Opowiadał raz kolega, co nam przywiózł list od niego, że choć ciężko sam pracuje dom dla Żydów tam buduje.

Benjaminek pilnie słucha, drapie palcem koło ucha i powiada: wujcio Mosze dał pomarańcz nam trzy kosze. Ma tam pardes piękny, duży i córeczkę małą Różę. Mówił ojcu — tam nasz świat — tam to Żyd Żydowi brat, tam jeno praca, pieśń i sport — ziemia, morze, własny port.

Gabryś, Uriel z Benjaminkiem dawno zjedli chlebuś z kminkiem, znaczki poszły na spód skrzyni — bo mówią o Palestynie.

ef.

Chodzący cukier

Basia: — Romciu, to cukier umie chodzić?

Romcio: — Co ty pleciesz. Zgłupiałaś chyba...

Basia: — A bo słyszałam jak mamusia mówiła, że cukier już wyszedł.



Moje okienko

O tym, jak się pan Kurek zdrzemnął, niby stary koń...

II.

Przyznaję się, chłopcy, bez bicia, chciałem czekać spokojnie na korytarzu do końca godziny wychowawczej, ażeby usłyszeć, co też Jurek powie. Zamierzałem nawet, aby sobie skrócić czekanie, trochę się zdrzemnąć na stojąco, jak stary, za przeproszeniem, koń. Cóż, kiedy los, który włazi mi zawsze w paradę, nie chciał, żebym się upodobnił do starego konia...

Bo oto, widzę, zmierza w moją stronę woźny. Antoni się nazywa. Stare to, poczciwe chłopisko, tylko — troche „ślepa kura". A tu w dodatku — korytarz ciemny, że własnej brody nie dojrzysz. Zwłaszcza, gdy jest czarna.

Ale Antoni nie musi widzieć. Sztubaka, panie, wyczuje nosem na kilometr. Taki to, że tak powiem — „genialny nochal"...

— Co tu robisz, smyku? — warknął w moim kierunku.

Spojrzałem odruchowo na tego smyka, to znaczy, na siebie i westchnąłem.

— Chciałem usprawiedliwić się, zwrócić uwagę Antoniego na moją mniej lub więcej (raczej mniej) czcigodną osobę. Zdobyłem się jednak tylko na niezdarny, całkiem sztubacki bełkot:

— Ja... ja... ja...

Nie było w tym mojej winy. Albowiem, moi drodzy, na korytarzu szkolnym, to nawet dziadek stuletni włazi z powrotem w skórę sztubaka.

— Marsz do klasy! — wydzierał się Antoni najniepotrzebniej w świecie — bo poskarżę się panu wychowawcy!

Drgnąłem. A niech go gęś kopnie! Wziął mnie przecież za ucznia. W takim razie — źle ze mną, panowie! Zanim się wytłumaczę, gotów jest narobić piekielnego wrzasku. Skuliłem się w sobie, a brodę zasłoniłem jak najprędzej rękami, żeby jej Antoni nie widział.

Okropna sytuacja! To się nazywa że wsiąkłem. Ale to był dopiero początek moich mąk. Moje nogi, przyzwyczajone za czasów sztubackich do posłuszeństwa, ruszyły, ni stąd ni zowąd, same z miejsca, „wtryniły" mnie cichuteńko do klasy i zawlokły do ostatniej, tak zwanej szczytnie „oślej" ławki, gdzie też usiadłem.

Jak to się stało, że nikt mnie nie zauważył, tego nie wiem po dzień... jutrzejszy.

Tymczasem w klasie działy się straszne rzeczy. Z ust wychowawcy padały gromy na głowy wszystkich, a zatem — i moją. Były to tak zwane „ukochane morały". Nie bardzo umiem wam wytłumaczyć, co to znaczy, bo za czasów szkolnych słuchałem ich, niestety, ćwierćuchem i dlatego wyrosłem za karę na pana Kurka. Słyszałem tylko kazania, wygłaszane podniesionym głosem, że trzeba być takim i owakim i w ogóle — aniołkiem.

Nie, moi drodzy, aniołkiem to ja już nie będę. Za stary na to. Najwyżej — mogę zostać porządnym drrrabem. Nie dziwcie się zatem, że na krótką chwilkę zatkałem uszy i zaopatrzyłem je z obu stron w szyldzik:

Morałom wstęp wzbroniony

Za to całą swą uwagę, że tak powiem, wzrokową, skupiłem na ofiarach, czyli na chłopcach. Myślałem, że w każdej ławce ujrzę same trupy, boć pioruny biły coraz gwałtowniej. Nic podobnego! To ci odporne stworzenia! Oddychają swobodnie, szepcą, poszturchują się i — w dodatku — gapią się. Zauważyłem też, że głodomór Busiek zbierał w ławce resztki okruszyn, sklejał je gumą arabską, czy innym „syndetikonem", i otrzymaną tą prostą drogą pajdę chleba, pakował cichaczem do ust...

Wychowawca, po umyciu i wyszorowaniu głów przyszłym aniołkom, uspokoił się od razu. Trochę to dziwne, ale tak było. Usiadł na katedrze, przywołał do siebie Buśka głodomora, któremu w tym czasie zdążyły się już „gumowane" okruszyny przylepić do jęzora, że musiał je stalówką zdrapywać... i podał mu pewną książeczkę.

— Czytaj — powiedział — następny rozdział. Ot ten, zatytułowany: „Jak należy jeść przy stole?"

Książeczka, jak zdołałem zauważyć na okładce, nosiła tytuł: „Bon ton". To podobno coś znaczy po francusku. Ale ja byłem w szkole marnym francuzem, więc nie bardzo wiem, co?

Biedny głodomór... Czytał grobowym głosem i lepiącym się językiem o tym, że nóż należy trzymać w prawej, a widelec w lewej ręce, czy też odwrotnie. Że nogą nie wolno sobie pomagać w żadnym razie. Że w tym czasie nie wolno kopać kartofli w... nosie, czyli, mówiąc mniej wykwintnie, po prostu — dłubać w nim. Że łyżkę wpuszcza się do środka, to znaczy do ust, nie „frontem", tylko — „bokiem". I że talerz przechyla się do siebie, a nie do gościa... Dlaczego, — nie wiem. Ale tak było napisane w tym „bontonku".

A cóż chłopcy, moi drodzy? Myślicie pewnie, że byli bardzo zajęci notowaniem tych przepisów, sposobów i chwytów widelco-nożo-łyżkowych? Owszem, zajęci byli, ale każdy po swojemu. Niektórzy odrabiali lekcje na jutro, większość jednak zajęta była grą w marki („para-niepara") i stalówki... Ma się rozumieć, że to wszystko odbywało się pod ławką.

Wobec tego, że mam własne sposoby posługiwania się nożem i widelcem, a na naukę nowych, jak się już wyżej rzekło, jestem za stary — nudziłem się potężnie. Tym bardziej, że nie mogłem przyglądać się spokojnie grze chłopców. Daję głowę, że nie mieli pojęcia o grze! Po prostu — „fuszer" na „fuszerze"! O, ja bym im pokazał, jak należy grać, jak przewracać kochane stalóweczki... ‚Ogolilbym" ich raz, dwa! Cóż — musiałem się zachowywać, że tak powiem — „niewidzialnie"...

Więc zniżyłem głowę i oddałem się rozmyślaniom.

W pewnej chwili usłyszałem wrzaski. Zerwałem się z miejsca i przetarłem oczy. Biada mi i wstyd! Zdrzemnąłem się niczym stary koń, i to w dodatku — dorożkarski...

Pan Kurek

Młodziutki artysta

(dokończenie ze str. 2-giej)

Antoś gra zaciekle na wszystkich skrzydłach i za wszystkich graczy (bo jest sam jeden), a Puduś... broni mężnie bramki.

— Mój Puduś jest najlepszym bramkarzem — chwali się Antoś.

Puduś jest też najlepszym i jedynym przyjacielem Antosia. Antoś nie ma kolegów, rówieśników, ma tylko tego psa, Pudusia, którego bardzo, bardzo kocha.

Właśnie zamknięty w drugim pokoju, zaszczekał teraz Puduś głośno i wymownie, jakby chciał mi powiedzieć:

— No, dość tej rozmowy, dość!... Czas teraz dla nas na zabawę!

Tak też i Antoś zrozumiał tę psią mowę, bo ledwo tylko położyłam rękę na klamce, Antoś wbiegł pędem do drugiego pokoju i uwolnił z zamknięcia Pudusia.

No i rozpoczęła się na dobre zabawa. **M. H.**

przez WESOŁE OKIENKO

Śmiejmy się...

On się tylko tak pytał

Odbywa się jakaś urzędowa uroczystość. Przez kordon policji nie wolno nikomu przejść, prócz dygnitarzy. Pomimo to jakiś pan chce koniecznie aby go przepuszczono.

— Nie wolno! — odpowiada policjant.

— Co? — pyta pan — Czy delegatowi ambasady amerykańskiej też nie wolno?

Pytanie działa. Policjant natychmiast przepuszcza pana. Jeden z dygnitarzy, który obserwował tę scenę, pyta go:

— To pan szanowny jest delegatem ambasady amerykańskiej?

— Ja? — dziwi się pan. — Skądże znowu!

Ja się tylko tak pytałem...

Objaśnił

— Tatusiu! Dlaczego do wojska nie przyjmują zezowatych?

— No bo... rozumiesz... taki żołnierz nie mógłby śmierci spojrzeć prosto w oczy.

Skuteczny sposób

— Co robić, żeby mieć delikatne ręce?

— Nic.

Wsypał się

Romcio telefonuje: Hallo! Panie Profesorze! Syn mój Romcio nie mógł być obecnie w szkole z powodu choroby.

Profesor — Kto mówi?

Romcio: — Mój ojciec.

Postęp

Ostatnie zdobycze techniki doprowadziły do tego, że zamiast lodu, możemy używać zamarzniętej wody...

Komu przypadły nagrody Okienka?

Prześliczna książka **„Podróż Janka naokoło świata“** przypadła jako I nagroda za trafne (i dowcipne) rozwiązanie zagadek z Nr. 1 — **Markusowi Hirschhornowi z Krakowa.**

Bombonierkę firmy „Suchard“, jako II nagrodę, przyznaliśmy — **Zygmuntowi Zollmanowi z Limanowej.**

Czekoladę „Suchard“ otrzyma jako III nagrodę — **Felicja Bornstein z Krakowa.**

Prosimy o odebranie nagród w Redakcji Okienka (Lubicz 24) między 3—4 pop. Zamiejscowym nagrody wysyłamy.

KUPON DO ZAGADEK

Trzeci list Kubusia w którym opisuje awanturę w szkole



Kto się chce zmierzyć z Kubusiem?

Kto ma odwagę zmierzyć się z Kubusiem? Wzywamy wszystkich „ś m i a ł k ó w” do brania udziału w naszym konkursie!

Za krótkie, dowcipne i najbardziej udane rebusowate listy naszych czytelników, które zamieścimy w wesołym okienku, Redakcja przeznacza **3 piękne nagrody: 1 Ciekawą i wartościową książkę. 2 Bombonierę firmy „Suchard“. 3 Wieczne pióro.**

Termin nadsyłania prac upływa **15 maja.**

KONKURS DLA CZYTELNIKÓW
KUPON Nr 2



Skrzynka pocztowa

Felusi ze Stanisławowa, Oldze Rittman, Dinie Weinberger, Arkowi Rosenbach, Hance Srebrnej, Doli Herzog, Dodkowi Wohlgesang, Chaji Birnfeld i wszystkim, którzy nadesłali nam serdeczne liściki i życzenia — dziękujemy bardzo.

Odpowiedzi Redakcji:

R. H. (Lwów): Nadesłany wiersz „Oryginalni przyjaciele“, który zdradza zdolności, nie wydaje nam się w odczuciu szczery. Prosimy o dalsze próbki i pozdrawiamy.

„Współpracownica“: Wskutek szczupłości miejsca w „Okienku“ nie możemy sobie pozwolić na wydrukowanie ładnie opisanej, ale zwykłej, codziennej przygody, która skończyła się... katarem.

Jak słusznie przeczuwałaś, ten „deszcz wiosenny“ spadnie tym razem do kosza, wraz z „deszczem papierów“.

Ziutka Nattel, Lena Petzenbaum: Macie rację. Romek i Tomek powinni dostać po 25 gr, „ponieważ są kolegami“. Ale... według rachunku wypadło jednak iaczej.

Z zbiorowych prac Tei Fränkel, Romana Goldsteina, Olka Koranyi, Uriela Szmulewicza (i jednej niepodpisanej) wybierzemy coś do druku i zamieścimy w „Okienku“.

Także z zbiorowych prac: **Fryderyki Feiler, Miny Gross, Goli Rosenstrauch** postaramy się coś wybrać do druku. Prosimy o prace wyłącznie krótkie.

H. E. N. S.: Niestety z braku czasu nie możemy sobie pozwolić na listowną korespondencję. — Nadesłana praca zdradza zdolności; do Okienka nie nadaje się.

* *

Rozwiązanie zagadek z Nr. 1 w dalszym ciągu nadesłali:

Salomea Blonder, Henig Eda, Jakub Friedman, Dodek Wohlgesang, Dawid Rotterstreich, Lieberman Rachela, Rosenblum Sala, Artur Goldman, Freida i Brandla Rosenfeld, Kleinberger Eugenia, Petzenbaum Lena, Bornstein Felicja, Hanka Srebrna, Abraś i Cwi Karmel, Fleischer Jetka, — z Krakowa, Artek Rosenbach (Przeworsk), Zygmunt Zollman (Limanowa, (Dodet Färber (Nowy Sącz), Anita Pisekówna Kraków.

Nazwiska dzieci, które trafnie rozwiązały zagadki Nr 2 jakoteż dalsze nagrody ogłosimy w najbliższym numerze „Okienka“.

Kto nam nadesłał zagadki?

„Słoneczko“, J. E. B. H., Dola Herzog, Hanka Jassemówna, M. J. Sachs, L. End i D. Henenberg.

KONKURS DLA CZYTELNIKÓW

Przypominamy, że dla Czytelników „Okienka“ którzy nadeślą nam 6 kuponów z kolejno następujących po sobie 6 numerów naszej gazety, wylosowane zostaną w nagrodę za wytrwałość w zbieraniu piękne i wartościowe książki i gry towarzyskie.

UWAGA: Kuponów nie należy przesyłać nam pojedynczo, ale wszystkie 6 razem.

Rozrywki umysłowe

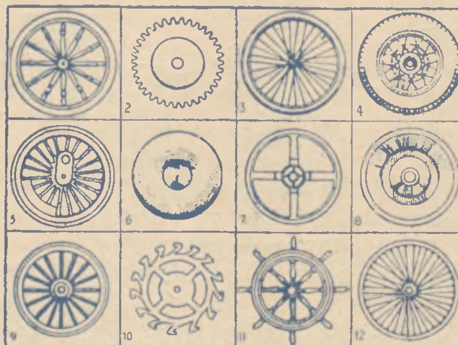
Rozwiązanie zagadek z Nr 1

Bardzo dowcipne i trafne rozwiązanie wszystkich zagadek z Nr. 1 nadesłał nam do Redakcji **Markus Hirschhorn,** ucz. kl. VI. sz. powsz. w Krakowie. M. Hirschhornowi przyznaliśmy I nagrodę w naszym konkursie rozrywkowym.

Oto jego rozwiązanie:

Zaczynam od Kubusia, który ma lat **13.** Następnie przeskakuję przez **pustkę i** głodny wpadam do lasu, gdzie Romek i Tomek częstują mnie bułkami. Mając dosyć pieniędzy daję Romkowi **10 gr** a Tomkowi **40 gr.** Po posiłku kładę się spać. W czasie snu staje przede mną **Faraon,** a potem zwierzę dziwoląg, które jest prawdopodobnie **przedstawicielem typu kręgowców.** Dziwne to zwierzę paszczę ma krokodyla, a w paszczy język żmii. Głowę jego zdobią rogi jelenie, ośle uszy i szyja żyrafy. A tułów? Ten zakończony kogucim ogonem i strusimi piórami, składa się z ryby i zebry. Na garbie wielbłądzim sterczą mu igły jeża. Kroczy ku mnie wesoło nogami konia, słonia, bociana i małpy. Budzę się. Znika zwierzę-dziwoląg, a ja zabieram się do rozwiązania zagadek. A więc: XX
— 22
88

Od czego są te koła?



Toczy się koło świata — a raczej miliony kół obracają się w świecie i przynoszą człowiekowi wielki pożytek.

Oto przed Wami na obrazku szereg różnorakich kół, używanych w życiu codziennym.

Kierownica auta, koło lokomotywy, zegara, roweru, samolotu, piła tarczowa, koło auta, koło przędziwa, wozu, ster u okrętu, rolki u łyżew, koło motocyklu!

Czy potraficie rozerwać te koła i podać ich nazwę w takim porządku, w jakim znajdują się na obrazku?

Uporządkowany spis nazw kół należy przesłać do Redakcji „Okienka".

* *

Rozwiązanie zagadek z Nr 3 nadsyłać można **najpóźniej do dn. 3 maja.** Do rozwiązań należy załączyć kupon, który drukujemy na str. 7.

Redakcja w kłopocie!

Nadszedł do nas list następującej treści

Kochane „Okienko"! Chcemy Ci oznajmić, że ja t. j. Teodor i moje rodzeństwo Józef i Miriam, zostaliśmy twoimi czytelnikami. Długo myślałem zanim odgadłem ile lat ma Kubuś. I dlatego donoszę Ci, że rok temu miałem tyle lat. co Józef i Miriam razem. Gdy Miriam miała 1 rok, ja byłem 2 razy starszy od Józefa a za 2 lata, będę 2 razy starszy od Miriam. Chcę byś i ty odgadł kochane Okienko ile lat ma moje rodzeństwo — i ja.

Twój Teodor

Jak dotąd — Okienko nie odgadło i wzywa szaradzistów do pomocy.

Układanki z rymem

Dygnitarz angielski
pokój w areszcie
Dali ci miejsce
buduj dom wreszcie!

ul „Słoneczko"

Na R się zaczynam,
Kończę się na Z
A kto wie, że jestem ptakiem
Ten odgadnie wnet.

ul. S. S. Średnia Wieś

Ile wynosiła strata Kubusia?

Kubuś kupił flaszkę z korkiem za 11 gr. Wracając ze sklepu do domu, wpadł niespodziewanie na latarnię (bo był gapa) i stłukł flaszkę na drobne kawałki.

A teraz żałośnie rozmyśla nad stratą: — Flaszka kosztowała o 10 gr drożej niż korek, a mnie pozostał tylko... korek. Ile kosztuje korek, — myśli z goryczą — a ile flaszka, którą stłukłem?...

A wy czy wiecie? No ile?



DOS KIND
(„Dziecko")
Miesięcznik społeczno-pedagogiczny
(w jęz. żyd.)
poświęcony zagadnieniom opieki nad młodzieżą i racjonalnego wychowania dzieci.

WYDAJE: „Centos", Warszawa, Fredry 10/9
REDAGUJĄ: A. Goldin i A. Berec.
Współpracują najwybitniejsze siły fachowe z różnych krajów.
PRENUMERUJĄ: Rodzice, wychowawcy, nauczyciele.
CENA PRENUMERATY: 3 zł rocznie.
ADRES: Warszawa „Dos Kind", Fredry 10/9

KSIĘGARNIA POWSZECHNA
RYNEK GŁ. 41. Dom „Feniksa"
poleca swoje wyborowe książki dla młodzieży:

Brzozowska Krystyna:	Dom i świat	zł 4.—
Kästner Eryk:	Emil nad morzem	„ 6.—
„ „ :	Kruszynka i Antoś	„ 4.—
Koch Anna:	Wiosna życia	„ 4.—
Meade L. F:	Dziewczę z za oceanu	„ 4.—
Page Brenda:	Przyjaciółki	„ 4.—
Salten Feliks:	Bimbi	„ 6.—
Spyri Joanna:	Prawdziwa przyjaźń	„ 4.—
Szczepańska I.	Uskrzydlona przygoda	„ 4.—
Tetzner Liza:	Podróż Janka naokoło świata	zł 6.—
Vildrac Karol:	Różowa wyspa	„ 4.—

Abonament miesięczny — 40 gr — kwartalny — 1·10 zł — półroczny — 2 zł

Ceny ogłoszeń: Cała strona 200 zł — 1/2 strony 120 zł — 1/4 strony 70 zł — 1/8 strony 40 zł — 1 mm 40 gr

Wszelkie wpłaty uskuteczniać można w każdym Urzędzie poczt. przekazem rozrach. Nr. 23 (bez opłaty)

Adres redakcji i administracji: **Kraków, ul. Lubicz 24 — Telefon Nr 106-76**

Adres red. Hirschprunżanki dla korespondencji: Kraków, ul. Bonerowska 2/2

Drukarnia Literacka Kraków, Pl. Zgody 4 — Telefon 185-18.